WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 73/74 19 VI 1990 r. Cena 650 zł

Złota Palma dla Krystyny Jandy na festiwalu filmowym w Cannes!

O aktorce piszemy na stronie 5.

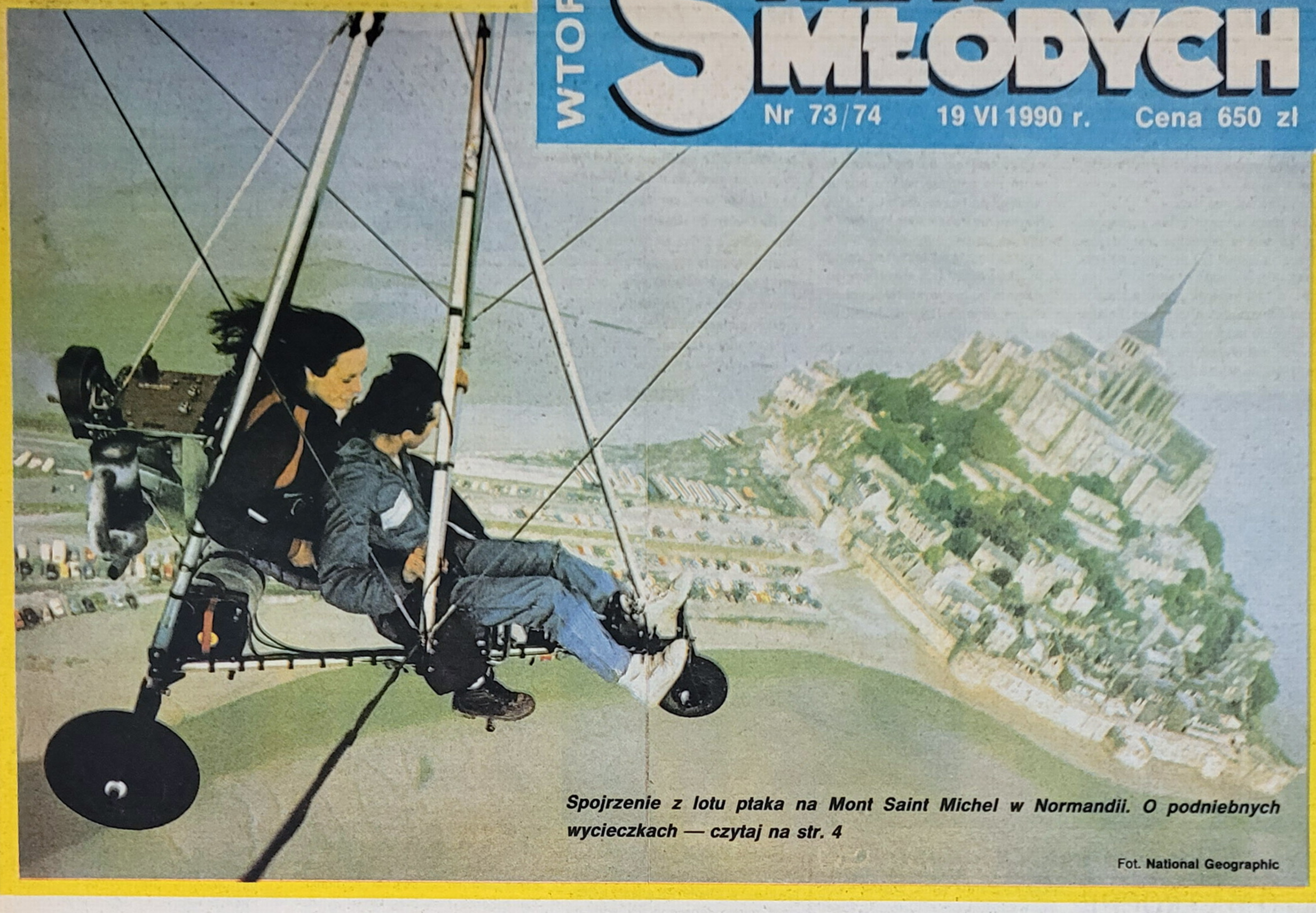

Spojrzenie z lotu ptaka na Mont Saint Michel w Normandii. O podniebnych wycieczkach — czytaj na str. 4

Fot. **National Geographic**

Na rowerze dookoła Chin

Pięciu młodych robotników z Szanghaju wyruszyło na rowerach w podróż dookoła Chin. Trasa ich eskapady wiedzie z Szanghaju do Tiencinu, Pekinu, a następnie po wielkim kole przez rejony północno-wschodnie, północno-zachodnie, południowo-zachodnie i zakończy się w Szanghaju. W ciągu 1,5 roku zamierzają pokonać trasę 30 tysięcy kilometrów, odwiedzając ponad 200 miast w 29 prowincjach kraju, w tym „Dach Świata" — tybetański rejon autonomiczny.

Tak długi rajd na rowerach odbędzie się w Chinach po raz pierwszy. Pozostaje tylko życzyć rowerzystom — powodzenia!

Manna z nieba?

Mogą się za szczęśliwców uważać mieszkańcy pewnej małej bretońskiej miejscowości. Odkryli bowiem na swojej plaży nie ropę wypływającą z uszkodzonego tankowca, co jest tu zjawiskiem normalnym, lecz tenisówki, zabawki, telewizory i radia, które zgubił przepływający w pobliżu tajwański frachtowiec. Podczas burzy w wodzie znalazły się 34 kontenery, a więc niemało dobra.

Pojazd na jutro

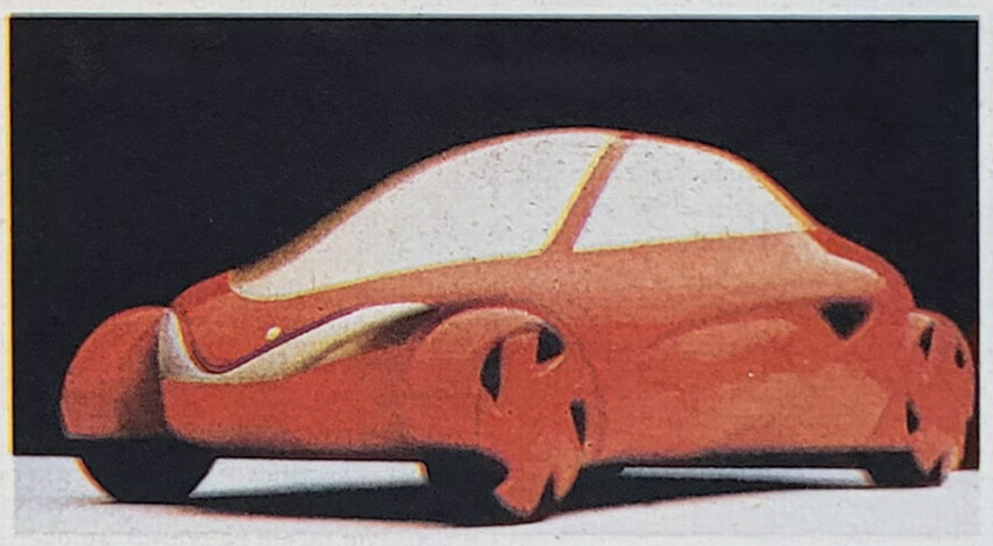

Ten niezwykły samochód nie ma jeszcze marki, ale tak właśnie być może będą wyglądały pojazdy przyszłości, które pragnęlibyśmy wszyscy oglądać na gładkich autostradach świata roku 2000. Autorem tej wizji jest 27-letni student słynnej kalifornijskiej uczelni College of Design z Pasadeny — Warren Crain. Na jednym z egzaminów profesor zapytał go, jak wyobraża sobie pojazd idealny dla współczesnej generacji kierowców. Rezultat przemyśleń Craina możecie oglądać na zdjęciu, bowiem grono zachwyconych inżynierów zdecydowało się zachować go jako prototyp, dla ewentualnego wykorzystania w przyszłości.

Paznokieć prawdę ci powie...

Czy wiecie, jak szybko i kiedy rosną paznokcie? Otóż średnio w miesiącu każdy z nich wydłuża się o ok. 4 mm. Średnio, ponieważ wzrost paznokci uwarunkowany jest wieloma czynnikami. Przy ciężkiej fizycznej robocie ich przyrost jest prawie niewidoczny, gdyż to co narasta, ulega zniszczeniu. Szybciej rosną paznokcie latem niż zimą. Szybciej na zmianę pogody. Niezależnie jednak jak szybko — należy o nie dbać!

Przyjeżdżajcie!

ZLOT

27 PDH im. Batalionu „Parasol" oraz 26 PDH im. „Grota"-Roweckiego organizują w dniach 14-16 września 1990 roku Zlot Drużyn Harcerskich noszących imię Batalionu „Parasol", a także bohaterów związanych z tym Batalionem, oraz drużyn mających za bohatera Stefana Roweckiego — „Grota".

Miejsce zlotu — Piotrków Trybunalski. Zgłoszenia prosimy nadsyłać pod adresem: hm. Tomasz Cieplucha
ul. Wojska Polskiego 42 m. 15,
97-300 Piotrków Trybunalski
do końca czerwca 1990 roku.

Po otrzymaniu zgłoszenia organizatorzy prześlą regulaminy. Czuwaj!

Pytania za „dychę" 14

Tu Instytut (gal) LUPA. Trwają badania pod hasłem „Portret". Jaki jesteś czytelniku „Świata Młodych"? Co Cię bawi? Co denerwuje? Kogo lubisz? Kim gardzisz?...

Instytut pyta — czytelnicy odpowiadają. Dziś kolejne, już czternaste pytanie. Wypełnij, wytnij i wyślij kupon (str. 2) — weźmiesz udział w losowaniu „dychy". Już w sobotę!

Szóstą „dychę" wylosował **Włodek Straszak z Wielunia.**

KLUB KORESPONDENTÓW „ŚWIATA MŁODYCH"

My i... szkoła

PLEBS?!

W numerze 58/59 „Świata Młodych" (w Klubie Korespondentów) został wydrukowany list K. Czubaszka „Państwowa czy prywatna?". Chodzi, rzecz jasna, o szkołę. Chciałabym nawiązać do tego listu.

Uważam, a nawet jestem przekonana, że szkoła prywatna jest bardzo złym pomysłem! Tak jak napisał Krzysztof, nie wszystkich będzie na nią stać, a tym samym... obniży się poziom nauczania. A przecież Polska potrzebuje ludzi wykształconych!

Jeśli, jak słyszałam, obowiązywać będzie tylko szkoła czteroletnia, a potem trzeba już będzie płacić, i to takie sumy, że ludzi mało zarabiających nie będzie stać na edukację swoich dzieci, podzielimy się w końcu na... patrycjat, pospólstwo i plebs! Nie jesteśmy przecież w średniowieczu! Nie jesteśmy, ale się do niego cofamy. I nic tu nie pomoże wysoki poziom cywilizacji na naszej Ziemi.

Nikomu nie będzie miło stanowić tę najniższą grupę społeczną — plebs.

A może będzie tak jak przed wojną? Albo jak za cara? Trzy klasy i koniec? Nędzne to będzie wykształcenie!

Sądzę, że lepiej, by zostało tak, jak jest. Dla wszystkich.

Anka lat 12

Fot. **MAREK SZYMAŃSKI**

My i... koszmary XX wieku

KTO MA TROCHĘ WSPÓŁCZUCIA...

Byłam w Warszawie na wycieczce z klasą. Zwiedziłam różne warszawskie zabytki. A kiedy zostało nam jeszcze sporo wolnego czasu, za zgodą wychowawcy chodziliśmy sobie po Starym Mieście. Wtedy właśnie spotkałam Kasię.

Trzymała w ręku tabliczę z napisem: „Już od 11 miesięcy jestem zarażona wirusem HIV, jestem chora na AIDS. Mam objawy tej choroby. Ojciec w obawie przed zarażeniem wyrzucił mnie z domu. Zostałam bez środków do życia. Kto ma trochę współczucia dla mnie, proszę o pomoc w każdej postaci. Dziękuję. 25-letnia Katarzyna".

Tak wiele mówi się o tej chorobie w radiu i telewizji. O tym, że nie można zarazić się AIDS przez podanie ręki choremu. Tymczasem ja, siedząc z Kasią i słuchając jej smutnej historii, zetknęłam się z samymi zniewagami i szyderstwami ze strony ludzi.

Czy to jest normalne?! Czy jest też normalne, by wyrzucać swoje chore na tak straszną chorobę dziecko z domu i zostawiać je bez środków do życia?!

Proszę, a nawet błagam, wydrukujcie mój list. Może zmieni się choć trochę stosunek ludzi zdrowych do wszystkich dotkniętych tą chorobą.

Edyta z Białej Podlaskiej

Zaproszenie

KORCZAK

Komenda Hufca ZHP Szczecin-Pogodno ogłasza konkurs plastyczny pod hasłem „Życie i twórczość Janusza Korczaka". Wymiary prac w formacie A-3. W dowolnej technice. Prace należy przesyłać pod adresem:

Komenda Hufca ZHP
Szczecin-Pogodno
im. Janusza Korczaka
71-324 Szczecin
Al. Wojska Polskiego 154
do dnia 30.08.1990 roku.

We wrześniu zorganizowana będzie wystawa nadesłanych prac, a najlepsze będą nagrodzone.

Czuwaj!

Komendant Hufca ZHP
Andrzej Stajnmec hm. PL

My i... harcerstwo

HARCONAUCI

Ledwo zdążyłem na pociąg (niestety, autobusy MPK w Ostrołęce nie zawsze jeżdżą według rozkładu jazdy, a czasami wcale nie pojawiają się na przystankach), ale jednak się udało. Po dwóch godzinach jazdy nasza jedenastka z Sieką (drużynowym) na czele wytoczyła się z pociągu. Nasze stroje i plecaki wzbudzały ludzką ciekawość. Po chwili pojawiła się łączniczka, mająca wskazać dalszą drogę. Kierunek marszu — Szkoła Podstawowa nr 2 w Zielonce.

Byliśmy pierwszymi uczestnikami Mazowieckiego Jambo '90, którzy pojawili się w szkole. Zajęliśmy najbardziej nam odpowiadający korytarz, pobraliśmy materace i... byliśmy „w domu". Zaczęły przybywać pozostałe załogi, nie brakowało drużyn ZHR-u z innych miast.

Przyjemnie spędzany czas przerwał nam nagle głośny okrzyk „Las się pali!". Przybiegł jeden z organizatorów: „Potrzebujemy ludzi do gaszenia, to niedaleko..." Ubraliśmy się szybko i już po chwili biegliśmy w stronę pożaru. Na miejscu ogarnął nas... śmiech. Paliły się dwie czy trzy kępki suchej trawy w promieniu około dwóch metrów. Pojawiła się też straż pożarna, lecz nasze buty nie pozostawiły najmniejszego płomyczka, żadnej iskierki. Wróciliśmy.

Wróciliśmy tylko po to, aby zaraz wyjść. Tym razem na prawdziwe ognisko. Było trochę chłodno, ale wesoło. Wreszcie pod koniec nocy, jak to zwykle bywa, położyliśmy się spać. Nie zdążyłem zamknąć dobrze drugiego oka, a tu trąbią pobudkę. To dranie! Na 9.00 organizatorzy przewidzieli apel, podczas którego poinformowali nas, co będzie dalej w ciągu dnia. A więc: gry i zabawy towarzyskie na świeżym powietrzu, bieg terenowy i kominek.

Do biegu terenowego Sieka wybrał mnie, Poldka, Ziele i małego Miśka. Ruszyliśmy w trasę o 14.15. Posługując się mapą odnaleźliśmy pierwszy punkt kontrolny, który przewidywał wykonanie ramki z drewnianych palików i liny. Zadanie wykonaliśmy błyskawicznie. Aby dojść do drugiego punktu najpierw trzeba było znaleźć kartkę z pytaniami, a następnie podążyć za głosem dzwonka. I to również nam się udało. Na pytania odpowiadaliśmy wykorzystując głównie wiedzę Sieki.

Trzecia „kontrolka" była trochę trudniejsza do odnalezienia: szliśmy szlakiem oznaczonym czerwonymi nitkami rozwieszonymi na drzewach. Nie zabłądziliśmy, choć chwilami było ciężko. Na miejscu musieliśmy wykazać się znajomością ziół i roślin leśnych, a także ich przeznaczenia. Trochę pobajdurzyliśmy o przynoszącym szczęście kwiecie paproci i ruszyliśmy w kierunku punktu numer cztery.

Był ekstra bieg sprawnościowy z „komadoskimi" przeszkodami. Chodziliśmy po drzewach, po belkach powiązanych linami. Najdłużej będę chyba wspominał zjazd po linie — właziło się na ogromniaste drzewo, potem zaczepiało duży karabińczyk za linę i zjeżdżało się w dół, będąc zdanym na wytrzymałość własnych rąk. Dla ludzi, którzy dokonali tego po raz pierwszy, było to naprawdę niecodzienne przeżycie.

Otrzymaliśmy teraz informację, że następny punkt osiągnie się idąc na azymut 190°. No więc idziemy, idziemy na ten azymut, idziemy i idziemy, patrzymy, a tu: Warszawa — Rembertów. Trochę nas szlag trafił, ale to nic. Pociągiem wróciliśmy do Zielonki. Tak zakończył się bieg terenowy, co nie oznaczało jednak końca atrakcji.

Po kominku, na którym Sieka, duży Misiek i Mariusz przedstawili wydłużoną wersję scenki „Bliskie spotkania V stopnia z harconautami", ruszyliśmy w teren. Okazało się bowiem, że niezwyciężona mafia uprowadziła komendanta MJ '90. (Z tą mafią to długa historia, tak długa jak „Panna dziedziczka", więc i kilku numerów „ŚM" by nie stało, aby wszystko wyjaśnić.) Na jego odnalezienie mieliśmy czas od dwunastej w nocy do czwartej nad ranem.

Rozpoczęły się gonitwy, łapanki, ucieczki i walki, strzelaniny, morderstwa, zabójstwa i samobójstwa oraz wiele innych atrakcji. Mafia posługiwała się dodatkowo Cadillakiem marki Syrena 105. Komendanta nikt nie uwolnił, mafii też nikt nie pokonał, ale za to było świetnie, a do porannego apelu spaliśmy całe trzy godziny.

Rano, wyspani i wypoczęci, odebraliśmy plakietki — samoródki, dyplomy i odmeldowaliśmy się. Pociągiem o 9.45 wróciliśmy do Ostrołęki. Było klawo.

Henlek Zethaerowiec
członek KK „ŚM"

Zerwij z nim!

Mam 15 lat i chciałabym przekazać Ci, Ewo, (nr 10 „ŚM") swoje zdanie o „fajnych" chłopakach.

Moim zdaniem tacy chłopcy, którzy kłamią i oszukują nie zasługują na uwagę porządnych dziewczyn. W końcu chodzisz z chłopakiem, a nie z jego urodą lub ciuchami. Przecież możesz poczekać, aż zjawi się ktoś, kto Cię doceni. Z powodu chłopaka, takiego jakiego poznałaś, nie warto uronić nawet jednej łzy. Jeżeli jeszcze tego nie zrobiłaś (a powinnaś już dawno), to zerwij z nim. Na Twoim miejscu nie przyznałabym się nawet do znajomości z kimś takim jak on.

Chłopcy, którzy oszukują, palą, przeklinają, piją i zachowują się ordynarnie dla dodania sobie dorosłości, są mali, słabi i śmieszni. Nie potafią wyróżnić się czymś dobrym, więc wyróżniają się złem. Takie samo zdanie mam też o dziewczynach, które zachowują się podobnie jak ci chłopcy.

I jeszcze jedno, nie zawieraj pochopnych znajomości. Prawdziwym chłopakiem-przyjacielem może zostać tylko ktoś, kto pomoże Ci w trudnej sytuacji, a nie zepsuje opinię. Ale może Ty również popełniłaś jakiś błąd? Rozejrzyj się wokół. Może w pobliżu jest ten ktoś, kto Cię zrozumie i będzie naprawdę wspaniałym chłopakiem. Jeżeli nie — zaczekaj. Ja też nie od razu znalazłam tego kogoś. Ale czekanie się opłaciło. Jest wspaniałym chłopcem. Jeżeli ze sobą zerwiemy, zrobimy to normalnie, bez kłamstw, a to pozwoli nam zostać przyjaciółmi.

Cristin

Jak wybrnąć?

Nie sądziłyśmy, że do Was napiszemy. Zmusiła nas do tego dość skomplikowana sytuacja, w której trudno jest nam się znaleźć.

Mamy po 15 lat. Przyjaźnimy się od VI klasy. Stosunki między nami układałyby się dobrze, gdyby nie chłopak, w którym obie się kochamy. Na imię ma Piotrek i jest 16-latkiem. Ma czarne włosy, piwne oczy i wspaniałą urodę. Znamy go tylko z widzenia. Nasze uczucia trwają już dwa lata, lecz on o niczym nie wie.

Śledzimy go od dłuższego czasu, ale nie wiemy, w jaki sposób możemy się z nim zapoznać. Próbujemy prawie w każdą niedzielę i nic nam z tego nie wychodzi. Wstydzimy się do niego podejść. Wiemy dobrze, że to nie w porządku, żeby dziewczyny podchodziły do nie znanego chłopaka.

Kochany różowy pasku! Prosimy bardzo o szybkie wydrukowanie naszego listu, ponieważ niedługo kończymy szkołę i może go już więcej nie zobaczymy. Prosimy także, poradźcie co mamy zrobić, żeby go nareszcie poznać.

Glenia i Zuzia

OD REDAKCJI: A jak się podzielicie Piotrkiem, kiedy wreszcie uda Wam się ujawnić wobec niego to wielkie uczucie? Czy będziecie w stanie kochać go obydwie naraz? A jeśli Piotr polubi tylko jedną z Was? Może lepiej nie ryzykować? (bs)

Czego nie znosisz, co cię drażni w ludziach?

— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Wpisz swoje imię, nazwisko, wiek, adres:

— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

„ŚWIAT MŁODYCH"
ul. Mokotowska 24
00-561 Warszawa

Biuro POD

Mam 16 lat i wielki kłopot. Zbieram komiksy z serii „Thorgal" i nie mam części zatytułowanej „Wyspa lodowych mórz". Może ktoś z czytelników ma tę część komiksu i wymieniłby ją na komiks „Zagłada Atlantydy" lub plakaty piosenkarzy. Mogę też zapłacić, **Małgorzata Kokot, ul. Drożniaka 7/33, 42-200 Częstochowa.**

Okazja!

Zestawy atrakcyjnych horoskopów wysyła KAJ.
Przyślij kartkę z adresem i dokładną datą urodzenia.
74-111 Lubanowo 42

G-67/1

„Świat Młodych" rozmawia z sercem „Serca" — red. Marią Jarochowską z katowickiego „Wieczoru"

LUDZIE NIE SĄ ŹLI!

— Jest pani inicjatorką akcji „Serce", mającej chronić interesy dzieci i młodzieży pozbawionych domów rodzinnych. Jak to się zaczęło?

— Inicjatorem akcji jest red. **Kazimierz Zarzycki.** W 1971 roku był on redaktorem naczelnym „Wieczoru", w której to gazecie zajmowałam się i nadal zajmuję problematyką społeczną. Któregoś dnia red. Zarzycki polecił mi sporządzić raport o stanie opieki nad dziećmi i młodzieżą z domów dziecka w województwach: bielskim, częstochowskim i katowickim. Jeździłam więc i odwiedzałam domy dziecka, placówki „Caritasu", domy małego dziecka. To, co zobaczyłam, przeraziło mnie: sytuacja była dramatyczna.

Postanowiliśmy zainicjować akcję, która by wyzwoliła różnego rodzaju inicjatywy i formy pomocy społecznej. Hasłem akcji prowadzonej po dzień dzisiejszy jest „Po prostu — serce". Oddaje ono — w moim przekonaniu — sens naszego działania: dzieciom pozbawionym rodzin, sierotom społecznym potrzebne jest nade wszystko uczucie, jego brak odbija się dotkliwie na rozwoju psychofizycznym, okalecza. Lekarze pediatrzy zwykli nazywać ten stan — chorobą sierocą. Jedyne lekarstwo na nią to odpowiedni klimat, przypominający atmosferę normalnego domu rodzinnego.

— Każde dziecko chce kochać i być kochane. Jak objawia się brak emocjonalnych więzi z otoczeniem?

— Wielokrotnie spotykałam się z tym, że dzieci, u których takich więzi nie było, po prostu nie płakały. Płacz jest swoistym wezwaniem. Postanowiliśmy więc odpowiedzieć na milczące wezwanie osieroconych dzieci. W 1972 roku, na samym początku akcji, pan **Józef Rosner** z Bielska-Białej postanowił zaopiekować się grupką dzieci z miejscowego domu dziecka. Zawiązała się między nimi serdeczna nić przyjaźni, ale był to dopiero pierwszy krok.

Wkrótce zainteresowali się problemem lekarze pediatrzy. Profesor **Bożena Hager-Małecka** ze Śląskiej Akademii Medycznej stworzyła specjalny zespół, który przebadał dzieci we wszystkich placówkach opiekuńczych oraz zajął się ich leczeniem. W bardzo krótkim czasie stworzył się także swoistego rodzaju „łańcuch serc" ludzi dobrej woli. Okazywali oni swoją nieocenioną wprost pomoc w wielu różnych dziedzinach: kupowali sprzęt sportowy, audiowizualny, organizowali biblioteki, a także fundowali książeczki mieszkaniowe dla wychowanków.

— Akcja ta miała więc początkowo charakter spontaniczny. Czy nie próbowano jej jakoś ukierunkować?

— Uszeregowaliśmy potrzeby poszczególnych placówek i w ten sposób powstał program wspólnego działania dla wszystkich gotowych przyjść z pomocą naszym podopiecznym. Wiadomo było, że same instytucje oświatowe nie będą w stanie zaspokoić wielu potrzeb naszych dzieci.

Po zawiązaniu się Społecznego Komitetu Opiekuńczego przy redakcji „Wieczoru" zainicjowana przez nas kampania rozwinęła się w ciągu 19 lat do tego stopnia, że... całkowicie zmieniła podejście ludzi do sprawy sieroctwa społecznego. Wstydliwe dotąd problemy ubrania, wyżywienia czy rozrywki wychowanków domów dziecka stały się naszą wspólną sprawą.

— Akcja „Wieczoru" znalazła naśladowców w innych regionach kraju, m.in. w Zielonej Górze, Szczecinie, Poznaniu...

— Kontakty nawiązane między placówkami zrodziły potrzebę spotykania się we wspólnym gronie przynajmniej raz w roku. W ten sposób powstała idea zlotów „Serca", które odbywają się w terminach bliskich Międzynarodowego Dnia Dziecka w ośrodkach harcerskich katowickiej chorągwi ZHP, a od kilku lat w Chorzowie.

— Jakie nowe doświadczenia przyniosły zloty „Serca"?

— Na jednym ze zlotów zorganizowaliśmy ogólnopolskie spotkanie kuratorów oświaty i wychowania, oraz komendantów chorągwi, a następnie ogólnopolskie spotkanie rodzinnych domów dziecka, które zaczęły dopiero powstawać. Stworzyliśmy wówczas społeczny fundusz stypendialny „Serca" dla szczególnie uzdolnionych wychowanków. Jego duszą stał się prof. **Jerzy Pietrucha** z Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Między innymi z utworzonego przez nas funduszu skorzystał chłopczyk, który był zupełnie sam na świecie i od trzeciego roku życia wychowywał się w katowickim domu dziecka. Dzisiaj po ukończeniu studiów na Politechnice Śląskiej w Gliwicach jest inżynierem. Przez kilkanaście lat opiekowałam się nim, był naszym „redakcyjnym dzieckiem". Do dzisiaj utrzymuję z nim kontakt. Odwiedza mnie w domu i w redakcji, opowiada o sobie, byłam na jego ślubie i weselu i z radością powitałam wiadomość, że urodził mu się syn.

Bywałam na wielu rodzinnych uroczystościach naszych podopiecznych. Serdeczna więź, jaka powstała między nami, trwa do dzisiaj. Stworzyliśmy bardzo liczną, wspólną rodzinę.

— Wspomniała pani o rodzinnych domach dziecka, które zaczęły powstawać w wyniku akcji. Kiedy powstał pierwszy taki dom w województwie katowickim?

— Było to w 1975 roku. Na otwarcie przyjechał nawet ówczesny minister oświaty i wychowania — **Jerzy Kuberski.** Miasto oddało na ten cel specjalne mieszkanie na osiedlu Tysiąclecia, wyposażone przez władze oświatowe i sojuszników akcji „Po prostu — serce". Pierwszą mamą w tym rodzinnym domu dziecka została pani mgr **Hanna Marzecka.** Rzuciła dość intratną posadę w przedsiębiorstwie górniczym, by poświęcić się dzieciom. Było ich ośmioro w różnym wieku. Dzisiaj dwie dziewczynki z tej rodziny mają już swoje domy, mężów i dzieci, a pani Marzecka jest szczęśliwą babcią.

— Czy przypomina sobie pani jakieś szczególnie wzruszające wydarzenie związane z akcją?

— Było ich tak wiele... W pierwszym Zlocie „Serca" w 1973 roku w ośrodku harcerskim hufca Tarnowskie Góry w Borowianach uczestniczyło ponad dwa tysiące wychowanków z kilkudziesięciu domów dziecka ówczesnego województwa katowickiego. I wtedy właśnie, na tym zlocie spotkało się rodzeństwo — chłopiec i dziewczynka, którzy do tej pory w ogóle nie wiedzieli o swoim istnieniu. Wychowywali się od małego daleko od siebie w różnych domach dziecka. I było wielkie wzruszenie, i radosny płacz, że nie są sami na świecie. Wówczas postanowiliśmy szczególnie zadbać o to, aby osierocone rodzeństwa, które przechodzą pod opiekę domów dziecka, wychowywały się razem.

— Czy ostatnie, kryzysowe lata nie odbiły się ujemnie na akcji?

— W ciągu ostatnich siedmiu chudych lat akcja nie osłabła, a wręcz przeciwnie — jej sojusznicy poczuli się jeszcze bardziej zobowiązani do pamięci o naszych podopiecznych i nie tylko o nich. „Po prostu — serce" rozrosło się i obejmuje dzisiaj, oprócz wychowanków domów dziecka, dzieci niepełnosprawne, chore, z najuboższych rodzin. Wieloletnie doświadczenie przekonało mnie, że ludzie nie są źli i zawsze stać ich na jakiś odruch serca. A trudności wyzwalają potrzebę wzajemnej pomocy.

Rozmawiał
KAZIMIERZ KRZYSKÓW
Fot. **JANUSZ PLEWNIAK**

Cieszmy się skarbem

Interesujący się malarstwem, a także ci, którzy w ogóle lubią wiedzieć i widzieć więcej — mają nie lada możliwości. W Zamku Królewskim w Warszawie czynna jest wystawa obrazów (oraz innych dzieł sztuki) stanowiąca część zbiorów i własność p. Barbary Piaseckiej-Johnson, naszej rodaczki z USA. W dawnym bankowym gmachu giełdy otwarto Kolekcję państwa Porczyńskich, podarowaną rodakom. Pierwsza wystawa — ta z Zamku — po odwiedzeniu jeszcze kilku miejsc na Ziemi wróci do właścicielki, druga zostanie na stałe z nami.

Kolekcja Janiny i Zbigniewa Karola Porczyńskich im. Jana Pawła II (przed laty wystawiona w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej) od samego początku ściągała tłumy z całego kraju. Wzruszenia, jakie daje obcowanie ze sztuką, potęgował fakt, że takich dzieł do tej pory w Polsce nie posiadaliśmy.

Ostatnio inż. Zbigniew Karol Porczyński, chemik z zawodu oraz mecenas sztuki i fundator z potrzeby serca w jednej osobie, otrzymał najwyższą godność akademicką: tytuł doktora honoris causa przyznał mu senat Politechniki Warszawskiej. Warto więc przypomnieć, że inż. Porczyński właśnie jako chemik pracował poza granicami naszego kraju i tam odnosił sukcesy zawodowe (a co za tym idzie i finansowe), dzięki którym mógł te wspaniałe dzieła sztuki zakupić — i ofiarować.

Na świecie jest wielu kolekcjonerów malarstwa. Lubią oglądać zgromadzone obrazy, dokupują nowe, niekiedy zapraszają znajomych, by się swoim bogactwem przed nimi pochwalić. Jakże to wspaniale, że zdarzają się ludzie, którzy skarby sztuki gromadzą z myślą o innych! Takich ludzi jak państwo Porczyńscy powinno się na rękach nosić. Gdyby nie oni, prawdopodobnie nigdy wielu z nas nie widziałoby tak wartościowych obrazów. Niektóre z nich są znaczące w skali światowej. O ich randze artystycznej i ich autentyzmie — co w muzealnictwie bardzo się liczy — wypowiadali się wybitni angielscy i włoscy naukowcy. Inż. Porczyński zadbał bowiem o szczegółowe przedstawienie pochodzenia każdego z zakupionych dzieł.

Nawet nie bardzo znającym się na malarstwie nazwiska mistrzów pędzla powinny sporo powiedzieć: Cranach, Murillo, Velazquez, Rubens, Veronese, Van Gogh, Renoir, Corot...

Obrazów jest bardzo dużo, około 430. Umieszczono je w kilku działach: Biblia i święci, Matka i dziecko, Portrety, Mitologia i alegoria, Pejzaż i martwa natura. Na zakończenie zwiedzania nie pomińcie znajdującego się na parterze, tuż przy wyjściu, Salonu Impresjonistów!

Kolekcja imienia Jana Pawła II pod patronatem Prymasa Polski znalazła stałą siedzibę przy placu Bankowym pod numerem 1, tam, gdzie do niedawna jeszcze mieściło się Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, czyli w samym środku Warszawy. Godziny otwarcia galerii: codziennie od 10.00 do 17.00. W poniedziałki — jak większość muzeów, kolekcja jest zamknięta.

Cena biletów normalnych 4000 zł, ulgowych — 2000 zł.

A.G.

Zbigniew Karol Porczyński wśród obrazów, które podarował Polakom

Fot. **CAF**

Samolocik dla żonatych

PODNIEBNE „MALUCHY”

— To jest latanie. Pęd powietrza wciska mi gogle w twarz. Jestem mocno przywiązany pasami do kubełkowego fotela... Szybować ponad chmurami, być unoszonym przez wiatr. Któż z nas nie marzył o tym, nie śnił, że lata.

— Latać jak ptak — to było od niepamiętnych czasów marzeniem ludzi. Mityczny Ikar i wielu po nim próbowało latać. Wznieść się w powietrze na skrzydłach minisamolotu udało się dopiero dwóm Amerykanom, braciom Orvillowi i Wilburowi Wrightom w grudniu 1903 r. Wraz z ich dokonaniem rozpoczęła się era latania.

W latach siedemdziesiątych wśród amatorów niecodziennych wrażeń ponownie ożyła myśl, która nurtowała Ikara i braci Wright. Być pasażerem luksusowego odrzutowca już ludziom nie wystarczało. W USA w stanie Wisconsin John Moody — zwany przez znajomych Wrightem nowej ery — skonstruował swój samolocik. — *Chciałem latać i mieć frajdę. W 1973 r. zbudowałem dwupłatowy szybowiec-lotnię. W marcu 1975 zamontowałem do niego dziesięciokonny silnik i śmigło. Podwozia nie było. Miały mi je zastąpić moje własne nogi. Był zimny marcowy dzień, kiedy spróbowałem po raz pierwszy. Najgładszą powierzchnią w okolicy był lód zamarzniętego jeziora. Stanąłem na nim. Włączyłem silnik i podniosłem mój samolocik. Pobiegłem. Po kilkunastu metrach uniosłem się w powietrze i poszybowałem. Cztery razy unosiłem się w powietrze i w sumie przeleciałem wtedy ok. 2 kilometrów. Później przetransportowałem samolocik na lotnisko i wystartowałem po raz drugi. Wzniosłem się na wysokość 100 m i zatoczyłem koło. Następnego dnia zatelefonowano do mnie z Federalnego Zarządu Lotnictwa z zapytaniem, dlaczego latałem samolotem bez licencji. Odpowiedziałem, że latałem na lotni. — Przez sześć lat Federalny Zarząd nie chciał przyjąć do wiadomości powstania nowej kategorii maszyn i od latających na samolocikach własnej konstrukcji domagał się normalnych licencji lotniczych.*

We wrześniu 1975 r. Moody odbył po raz pierwszy lot długości ponad 20 km. Konstrukcja braci Wright ważyła dwieście kilkadziesiąt kilogramów, maszyna Moody'ego — tylko około stu. Moda zapoczątkowana przez Moody'ego w krótkim czasie rozprzestrzeniła się po Stanach Zjednoczonych. Większość konstruktorów superlekkich ultralight (tak się określa te samolociki w USA) — to ludzie młodzi, dwudziesto- bądź trzydziestoletni, ale np. jeden z pilotów John Lasko zaczął latać nimi mając lat 15.

Na zdjęciach:

1. ***Podniebny „maluch” wykorzystywany do lotów patrolowych przez policję w Downey w Kalifornii***
2. ***Do odważnych świat należy! Ten śmiałek wybrał się swoim Pterodactylem na zwiedzanie gór Gran Tenton w stanie Wyoming***
3. ***W takich oto kilku paczkach mieści się cały minisamolot***
4. ***Superlekki już gotowy — w całości i w częściach — przed zmontowaniem***

Samolociki konstruowane są z różnych lekkich materiałów, Najczęściej są to rurki aluminiowe — na konstrukcję i płótno żaglowe — na skrzydła. Ale mogą to być również rurki aluminiowe i werniksowany jedwab. Kiedy zbudowany z takich właśnie materiałów samolocik Quicksilver (żywe srebro) ujrzano nad Paryżem miejscowi ochrzcili go mianem Ważki — prawdopodobnie ze względu na przezroczyste skrzydła widoczne na tle nieba.

Superlekkie konstruowane są przez indywidualnych entuzjastów, ale również produkowane seryjnie na sprzedaż. Najlepiej sprzedającym się modelem na świecie jest właśnie wspomniany wyżej Quicksilver. W ciągu minuty wznosi się on na wysokość ponad 220 m, a pułap jego normalnej wysokości komunikacyjnej wynosi 4100 m. Droga startu i lądowania wynosi kilkanaście metrów, szybkość ok. 40 km/h. Do tej pory sprzedano już tysiące egzemplarzy tego modelu. W USA istnieje ponad 50 firm produkujących seryjnie superlekkie. Niektóre z nich robią wielomilionowe interesy, korzystając z mody na maszyny latające, o których kilkanaście lat temu jeszcze nikt nie słyszał.

— *Każdy chce latać* — komentuje ten fakt John Lasko — *ale dopiero teraz prawie każdego na to stać.*

Superlekkie kosztują od 4500 do 6500 dolarów, a więc mniej niż samochód. Model Quicksilver do zamawiającego dostarczany jest w trzech kartonach i jednej tubie a składa się go w ciągu 40 godzin. Wszystko jest przygotowane w taki sposób, by samolocik można było złożyć samemu bez użycia specjalnych narzędzi.

— *Ludzie pytają mnie, czy bezpieczne jest latanie superlekkim* — mówi John Lasko. — *Wszystko zależy od pilota, który przecież sam składa samolocik. Superlekkim jest tak łatwo latać, że w tym zawiera się największe niebezpieczeństwo, gdyż nowy nabywca nie ma żadnego doświadczenia i nie jest przygotowany na nieprzewidziane sytuacje.* Eipper i inni renomowani wytwórcy nakazują firmom sprzedającym dokonanie sprawdzenia montażu i odbycia przez instruktora próbnego lotu wraz z właścicielem (treningu pilotażu). Superlekkie nie są w USA rejestrowane i nie ma dokładnych statystyk dotyczących liczby latających maszyn. Wiadomo np., że w 1981 r., kiedy latało od 12 000 do 15 000 samolocików, zanotowano 48 wypadków. W tym samym roku na 213 267 latających w USA prywatnych samolotów zanotowano 1251 wypadków.

Michael Markowski, specjalista i autorytet w dziedzinie aerodynamiki superlekkich opowiada następujące zdarzenie:

— *Widziałem wypadek dwuosobowego superlekkiego, który rozbił się o nasyp. Samolocik został kompletnie zniszczony, a pilot i pasażer wstali, otrzepali się i poszli sobie cali i zdrowi. Czemu tak się stało? Pilot i pasażer plus samolocik ważyli razem około 250 kg i uderzyli w ziemię z prędkością 45 km/h. Niewielki popularny samolot Cessna 150 z dwoma pasażerami waży 720 kg, czyli trzy razy więcej i ląduje z prędkością 90 km/h. Cięższa i szybsza Cessna, która musi wytracić większą energię kinetyczną, uderza w ziemię z siłą szesnaście razy większą. Superlekki w momencie zetknięcia z ziemią ma tylko 6 proc. tej energii, jaką ma Cessna. Oto dlaczego piloci superlekkich przeważnie mogą odejść o własnych siłach z miejsca wypadku.* Ważne jest również to, że superlekkie zużywają bardzo mało paliwa i w razie wypadku jest prawie niemożliwe, by się zapaliły. Jest wszakże jedno ale. Latający na superlekkich muszą pamiętać, że ten rodzaj samolotu jest bardzo czuły na zawirowania powietrza. Silniejszy wiatr uniemożliwia w praktyce latanie. — *To tak jakby wybrać się na północny Atlantyk kajakiem* — powiada jeden z pilotów. Trzeba więc uważać

Przedstawiciel jednej z wytwórni stwierdza, że większość latających szybowcami to ludzie w wieku od 20 do 30 lat, wysportowani, poszukiwacze przygód, natomiast wśród kupujących jego superlekkie przeważają żonaci mężczyźni od 30 do 50 lat. Wielu z nich to licencjonowani piloci, ale latanie samolotami kosztuje kilkadziesiąt dolarów za godzinę, natomiast superlekkim — 4 dolary za godzinę. Inny wytwórca superlekkich stwierdza: — *Teraz latać może każdy, może wznieść się w górę na dwie godziny, przebywać setki mil, spryskiwać swoje pole, dokonywać inspekcji rurociągu, ale przede wszystkim może mieć frajdę. Budujemy samoloty dla zwykłych ludzi.*

W USA wytworzyła się już pewna tradycja. Raz do roku, na wiosnę, budowniczowie superlekkich i użytkownicy zakupionych gotowych maszyn spotykają się na wielkich zlotach. Z każdym rokiem na zloty przybywa ich coraz więcej.

Zdarzyło się już jednak, że superlekkie zostały wykorzystane do celów

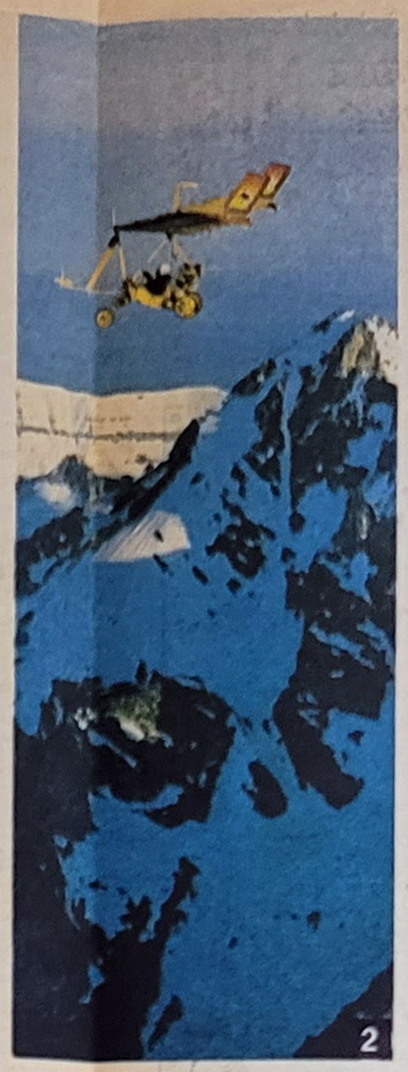

wojskowych. Dwóch terrorystów palestyńskich przedostało się przy ich użyciu z Libanu do Izreela. Z kolei w Izraelu na pustyni zbudowano tajną wytwórnię superlekkich przeznaczonych dla armii. Secjalnie przygotowany superlekki jest niewidoczny dla radaru. Samolocik tego typu może być wykorzystany zarówno przez policję patrolującą granicę jak i przez przemytników. Potencjalne możliwości superlekkich dla czynienia zła jak i dobra są więc olbrzymie. Ale najważniejsze, że ten nowy twór ludzkich rąk spełnił odwieczne marzenia człowieka o lataniu.

Opr. na podst. National Geographic (gb)

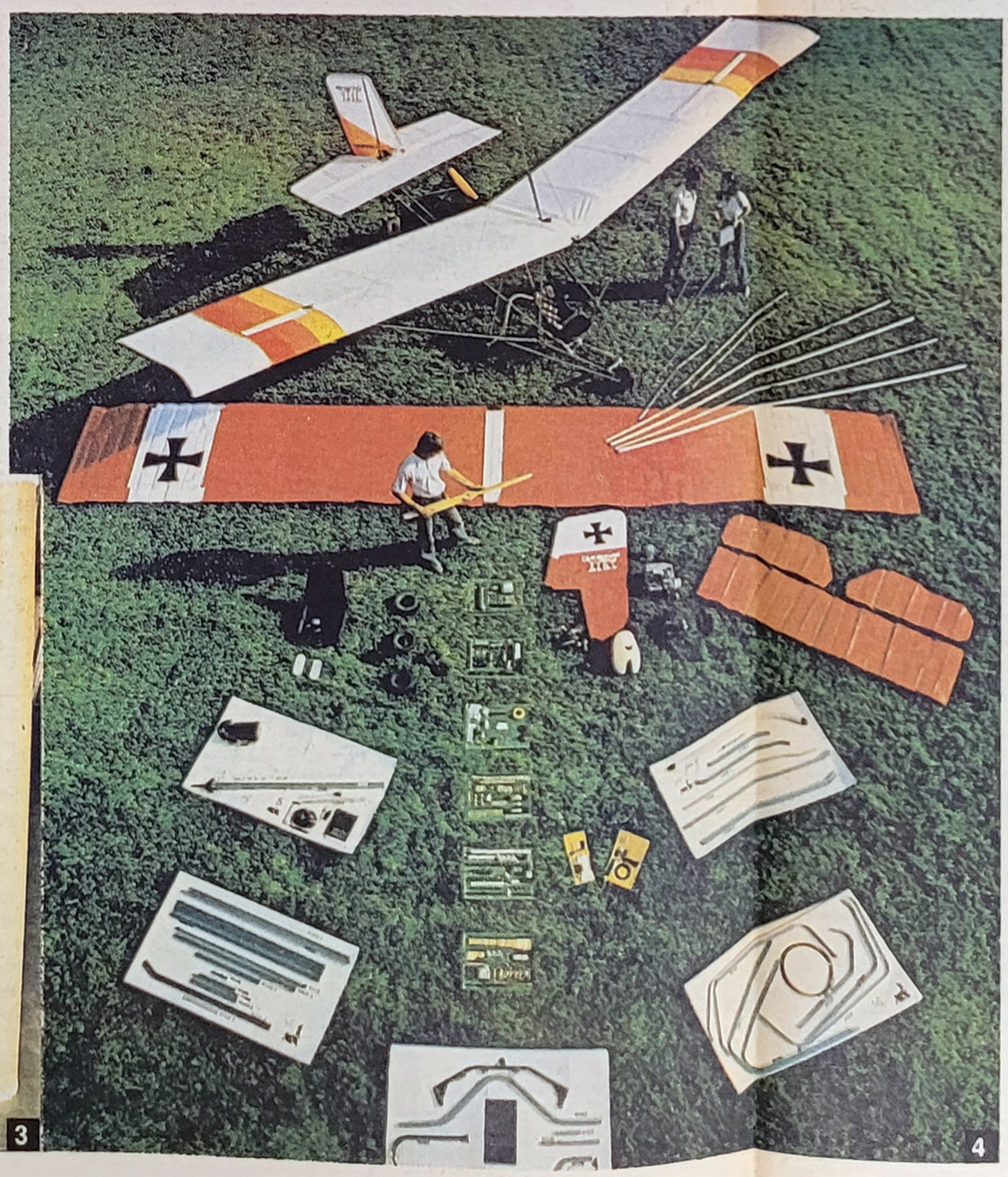

FIRMA POETYCKA ZŁOTY SZERSZEŃ

Wakacyjny Konkurs Poetycki

Czym jest poezja? Poeta mówi: *jeżeli lotem — to pod wiatr, jeśli żeglugą — to pod prąd, jeżeli marszem — to na przekór. (...) Bo tylko to jest poezją: nieustające szukanie.**

I właśnie

SZUKANIE

proponuję Wam w tym roku jako temat.

Szukanie kogo? czego? Siebie... miejsca... zrozumienia... zapomnienia... sensu... przyjaźni...

Czekam na wiersze. Jak co roku — przez całe wakacje.

Wasza **BRZĘCZYSŁAWA**

* Tadeusz Borowski: „O poecie i poezji"

„GRY NA PIĄTKĘ" SĄ WSZĘDZIE!

Trochę w tym na razie przesady, ale z radością zawiadamiamy, że coraz więcej sklepów ma w swoim asortymencie gry, które zdobyły światomłodowy znak jakości.

Ostatnio **„Miś (Kielce, ul. Żeromskiego 8)** zgłosił redakcji, że ma wszystkie „Gry na Piątkę" i że ma dobre zabawki, i że będzie miał ciuchy dla nastolatków, i że wszystkich czytelników „Świata Młodych" zaprasza.

Przypominamy, że „Gry na Piątkę" są zawsze w **Bydgoszczy** (ul. Planu 6-letniego), w **Dąbrowie Górniczej** (ul. Czerwonych Kosynierów 26), w **Krakowie** (ul. Chopina 6), w **Łodzi** (ul. Struga 4), w **Płocku** (ul. Grodzka 15), w **Stalowej Woli** (ul. Lenina, hala targowa, stoisko 15), w **Tychach** (ul. Kopernika 3), w **Warszawie** w kiosku przy Domu Towarowym „Smyk", w **Zielonej Górze** (ul. Waryńskiego 1).

KRYSTYNA JANDA — 10 lat później...

Zajrzałam w pożółkłą nieco gazetę sprzed przeszło dziesięciu lat („ŚM" nr 13 z 1979 r.); wtedy w tej rubryce przedstawiłam Czytelnikom młodą polską aktorkę Krystynę Jandę. Rozmawiałyśmy, jak pamiętam, w kawiarence dla aktorów teatru Ateneum. Byłam zaskoczona, że moje wyobrażenie o niej wyniesione z kina tak różni się od rzeczywistości. Zobaczyłam dziewczynę bardzo zrównoważoną, spokojną, która przywiązywała wagę do każdego wypowiadanego słowa. Ani trochę nie przypominała nerwowej, drapieżnej Agnieszki z „Człowieka z marmuru", ani trochę nie starała się być gwiazdą, choć już wtedy koledzy — aktorzy mówili o niej z lekkim podziwem i zazdrością: „gwiazda Wajdy"!

Istotnie miała szczęście, zaczynała od ról dających pole do popisu, znaczących. Nie był to jednak przypadek, ale wynik pracy jeszcze w szkole, konsekwencja posiadania talentu, który wyróżniał ją spośród kolegów. W 4 lata zaledwie od otrzymania dyplomu warszawskiej PWST „wygrała" sobie tytuł najpopularniejszej aktorki roku 1978. Przyznano jej go najpierw na Zimie Filmowej w Wiśle, a potem podczas Filmowego Lata w Łagowie. Pani Krystyna mówiła wtedy:

— *Jestem młodą aktorką i nie mam jeszcze właściwie żadnej techniki. Każdą z kolejnych ról staram się wywieść ze swoich doświadczeń, ze swojego sposobu myślenia i bycia. Tyle że za każdym razem wybieram inny zespół swoich cech, który istniał w pewnym okresie mego życia i stylizuję je do filmu.*

W owym czasie Krystyna Janda miała za sobą dopiero dwie, ale za to skrajnie różne role filmowe — właśnie w „Człowieku z marmuru" Andrzeja Wajdy i w „Bez znieczulenia" Krzysztofa Zanussiego. Mogła się też już szczycić znakomitymi kreacjami teatralnymi — m.in. męską rolą Doriana Graya w przedstawieniu zainscenizowanym wg Oscara Wilde na deskach warszawskiego teatru „Ateneum" i Anieli w „Ślubach panieńskich" Aleksandra Fredry.

Obdarzona nieprzeciętną intuicją artystyczną, maksymalnie skoncetrowana w pracy, z twarzą wyjątkowo wprost „wrażliwą" na obiektyw kamery, zaczęła zachłannie, intensywnie pracować. Po prostu pogrążyła się w aktorstwie! Teatromani wiedzą, jak dużo osiągnęła na scenie — wiele jej kreacji można by tu przywołać, ale na pewno nie wolno pominąć tytułowej roli w „Medei" Eurypidesa wystawionej w 1988 r. w Teatrze Powszechnym. Otrzymała za nią nagrodę im. A. Zelwerowicza. Warto też przypomnieć, że nieco wcześniej zmierzyła się z publicznością sam na sam — w monodramie „Biała bluzka".

Kolejną szkołą aktorstwa był dla niej — jak twierdzi — kabaret. Przed laty, gdy pytałam ją, czy ta praca do późnej nocy nie wykańcza jej, czy jest jej naprawdę niezbędna dla aktorskiego rozwoju — powiedziała: — *Tak, bo... każda piosenka jest dla mnie zadaniem ważnym, nie mniej niż nowe role w teatrze, w filmie. Każda piosenka jest także wyzwaniem!*

Do tego, by nazwisko Janda stało się znane w Europie, przyczynił się nie tylko udział w „Człowieku z marmuru" i w 1981 r. w „Człowieku z żelaza" Andrzeja Wajdy (który to film został zaprezentowany i wzbudził zainteresowanie w Cannes), ale i w innych filmach polskich przedstawionych na międzynarodowych festiwalach, Za rolę Marii w „Golemie" Piotra Szulkina Krystyna Janda otrzymała od miłośników fantastyki w Trieście Srebrny Asteroid. Grywała (szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego) wiele za granicą — przede wszystkim u słynnego Węgra — Istvána Szabō: „Der Grüne Vogel" (79), „Mefisto" (80), a także w filmach i serialach francuskich, niemieckich, austriackich... Do jej trofeów przybyła m.in. Główna Nagroda na FF w Montrealu (83 r.) i wygrany plebiscyt w Szwajcarii na najpopularniejszą aktorkę europejską. Ukoronowaniem tych zagranicznych sukcesów stała się ostatnia, tegoroczna nagroda, przyznana jej w maju w Cannes — Złota Palma dla najlepszej aktorki festiwalu za kreację w „Przesłuchaniu" Ryszarda Bugajskiego.

Rolę w tym dramatycznym, demaskatorskim filmie o latach pięćdziesiątych zagrała w 1982 r. Dopiero teraz, po długim okresie tzw. półkownikowa film wszedł na polskie ekrany. Wielu polskich widzów zdołało jednak go obejrzeć na wideo dużo wcześniej i kreacja aktorki — niewinnej ofiary, która, mimo tortur i poniżenia, do końca nie dała się złamać oprawcom z bezpieki — wywiera na wszystkich ogromne wrażenie. To rzeczywiście jest rola olbrzymia, rola, która wymagała od aktorki i intuicji, i perfekcji warsztatowej, i... dojrzałej, bogatej osobowości.

Krystyna Janda do tej pory zagrała w ponad 40 filmach. Nie wszystkie filmy i role, w które przyszło jej się wcielać, były wybitne — każdą ze swych bohaterek zdołała jednak naznaczyć swoistym piętnem — nie wiem zresztą, jakie słowo mogłoby najtrafniej określić tę jej swoistość: emanującym z nich napięciem, temperaturą... Role tej aktorki jednych zachwycają, innych bulwersują — nigdy jednak nie pozwalają nikomu pozostać obojętnym.

W tej chwili oglądamy Jandę w serialu tv, w roli, z którą — jak sama stwierdziła w telewizyjnej wypowiedzi — może się chyba najmocniej identyfikować. Gra przecież aktorkę — słynną polską artystkę sprzed półtora prawie wieku, tę, której talent przekroczył granice swego kraju, swego kontynentu i nawet bariery językowej — Helenę Modrzejewską.

EWA BIELSKA

Fot. **CAF**

GWIAZDOZBIÓR

KOSMICZNA PSYCHOLOGIA

Ważnym czynnikiem powodzenia każdego lotu kosmicznego jest właściwe przygotowanie astronautów. Dlatego szkoli się ich i bada bardzo dokładnie. Do przeprowadzania owych prób przydatności i wytrzymałości służą specjalnie budowane centra szkoleniowe wyposażone we wspaniałą aparaturę. Przyszli kosmonauci przechodzą wiele testów, które pozwalają wybrać najlepszych. Następnie w ciągu długotrwałych badań zostaje wybrany najbardziej odpowiedni człowiek. On to dopiero po żmudnych treningach może polecieć w przestrzeń międzyplanetarną.

Nauką zajmującą się zjawiskami, występującymi w lotach kosmicznych jest psychologia kosmiczna. Jej zadaniem jest pomóc w doborze kandydatów. Badając szereg okoliczności towarzyszących lotom kosmicznym eliminuje nieodpornych. Owe niekorzystne czynniki to m.in.: izolacja, niemożliwość natychmiastowego powrotu, zamknięcie w małym pomieszczeniu kabiny, ciągłe zagrożenie, zaburzenie rytmu dobowego, jednostajność, skrępowanie ruchów, a także — trudny do pojęcia — pobyt w nieograniczonej przestrzeni. Psychologia kosmiczna zapobiega tym wpływom i przyczynia się do niszczenia ich ujemnych skutków w psychice kosmonauty. Oprócz tego pomaga w zgraniu urządzeń statku kosmicznego z człowiekiem. Dostarcza wiadomości niezbędnych w realizacji wypraw kosmicznych.

Nauką, która niedługo również znajdzie zastosowanie w kosmosie, będzie socjologia astronautyczna. Do niej zaliczymy problemy przyszłych kolonii kosmicznych, stacji badawczych, lotów międzygwiezdnych i planetarnych... Znajdą się tam także takie problemy jak: uzależnienie lub odcięcie od planety matki, pewna odrębność i inność warunków bytu — sposoby wypoczynku i pracy, sprawiedliwego podziału mienia, władzy... i wielu, wielu jeszcze innych równie ważnych zagadnień.

Wynika stąd ogrom trudności, które trzeba pokonać, myśląc w ogóle o podboju kosmosu. Sądzę jednak, iż gatunek Homo sapiens stać na to. Człowiek umiejąc stworzyć sobie dogodne warunki życia na Ziemi, potrafi także przystosować się do obcych, już nie ziemskich, lecz zawsze naturalnych czynników rządzących wszechświatem.

Paweł Usidus
członek MKKD „KONTAKT"

Wielokrotnie poruszaliśmy na naszych łamach problem życia we wszechświecie. Jest to sprawa, która nurtuje ludzkość od bardzo dawna. Przemożna chęć poznania prawdy jest silniejsza od przeszkód piętrzących się na tej drodze. Na ogół panuje przekonanie, że życie na Ziemi nie może być wyjątkiem, kaprysem Przyrody. Skoro tak — rozumują zwolennicy teorii powszechności życia w kosmosie — to trzeba zrobić wszystko, aby je odszukać.

Inną sprawą jest powstanie życia na Ziemi. Tu również jest wielki zamęt i wiele teorii. Jedną z nich, nie prezentowaną od lat w Tomiku, jest panspermia, o której pisze dziś Andrzej Chrustek.

A co Wy o tym sądzicie?

PREZES

Czy żyjemy w galaktycznym ZOO?

Chciałbym poruszyć temat życia we wszechświecie oraz przedstawić hipotezę powstania życia na Ziemi. Sprawa życia poza Ziemią, zwłaszcza życia rozumnego, jest zagadnieniem, w którym istotnie uczeni od dawna próbują prześcignąć samych siebie. Przekonanie, że nie jesteśmy we wszechświecie samotni, skłania astronomów do poszukiwania na niebie oznak życia. Nie wyklucza się możliwości, że życie na Ziemi rozwinęło się z organizmów dostarczonych tu miliardy lat temu przez cywilizację pozaziemską. Powyższa hipoteza pozwoliła dwóm wybitnym biologom molekularnym, Francisowi Crickowi i Lasslie Orgelowi sformułować nowy, zaskakujący pogląd na temat powstania życia na Ziemi. Przyjmują oni mianowicie, że przed miliardami lat jakaś wysoko rozwinięta cywilizacja zdecydowała się „zasiać" na innych, pobliskich planetach pierwotne formy życia, w nadziei, że mogą się z nich rozwinąć cywilizacje. Crick i Orgel twierdzą, że ich przypuszczenie — zwane kierowaną panspermią — jest równie przekonywające jak inne teorie tłumaczące pochodzenie życia na Ziemi. Są wszakże mocne argumenty przeciwko teorii panspermii w jej pierwotnej postaci. Tak np. Carl Sagan z Cornell University wykazał, że dawka promieniowania, na które musiałyby być narażone zarodniki w ich międzyplanetarnej podróży, niemal na pewno byłaby śmiertelna nawet dla najbardziej radioodpornych organizmów. Gdyby jednak zarodniki były przenoszone przez meteoryty — jak to przyjmował Kelvin — byłyby oczywiście chronione. Przeciwko temu przemawia jednak małe prawdopodobieństwo dotarcia zarodników na miejsce przeznaczenia.

Crick i Orgel formułują szereg pytań i odpowiedzi związanych z tym zagadnieniem. Czy w ciągu istnienia naszej Galaktyki było dosyć czasu na to, aby kolejno rozwinęły się dwie zaawansowane cywilizacje? Czy możliwe jest przenoszenie życia na tak ogromne odległości? A wreszcie, czy istnieje jakiś biologiczny dowód wskazujący, że życie na Ziemi mogło powstać gdzie indziej? Autorzy dochodzą do wniosku, że kierowana panspermia jest bez wątpienia możliwa, jednakże dostępne dane naukowe nie pozwalają na racjonalny wybór między tą hipotezą pochodzenia życia na Ziemi, a hipotezami tradycyjnymi, gdyż przenoszenie zarodników życia jest uwarunkowane ich wielkością i wymaganiami życiowymi. Znaczny wysiłek wyobraźni, niezbędny przy próbach ustalenia początków życia, odzwierciedla nasze wspólne przekonanie — a może nadzieję — że w naszej Galaktyce istnieje wiele siedlisk „inteligentnego życia". W koncepcji tej mieści się założenie, że układy planetarne są czymś pospolitym, przy czym ta część hipotezy może być sprawdzona przez astronomów bezpośrednio. Ocenia się, że liczba gwiazd obieganych być może przez planety wynosi ok. 20 proc. Zapewne 1/10 tych nieznanych światów posiada warunki dogodne dla rozwoju życia. Nie sposób odgadnąć, jak wysoki szczebel drabiny rozwojowej osiągnąć może takie życie. Jednakże większość badaczy, którzy rozważali ten problem, twierdzi, że planety nadające się do zamieszkania występują wszędzie. W rezultacie znawcy planet mówią biochemikom: „Dajcie nam życie, a my już znajdziemy puste miejsce, gdzie może ono rozkwitnąć".

Szczególnie skromne tłumaczenie braku rezultatów poszukiwań życia podał uczony z Harwardu, John Ball. Wkracza on w sferę science-fiction, gdy formułuje hipotezę, że my, mieszkańcy Ziemi, żyjemy w galaktycznym zoo. Według tej hipotezy jakaś supercywilizacja być może sprawuje dzisiaj kontrolę w całej Galaktyce. Podobnie jak my mamy parki Safari, ogrody zoologiczne i rezerwaty, tak oni mogli założyć w Układzie Słonecznym rezerwat innych cywilizacji. Doskonały „dozorca" ogrodu zoologicznego nie daje odczuć swej obecności i tego, że wykonuje swoje zadanie — dlatego też jesteśmy nieświadomi jego obecności.

Andrzej Chrustek
Nowa Ruda 4

EDMUND NIZIURSKI

Żaba, pozbieraj się! 16

Podskakuje do góry z radości jak mały psiak, gdyby miał ogon, to by z pewnością merdał.

— Nareszcie się złapałem, Żaba — wysapał. — Przykra rzecz się stała!

— Ja nie mam czasu, Pigment — przerwałem.

— Przecież jest bardzo wcześnie.

— Ale mam ważną sprawę na tapecie.

— Musisz nam pomóc, Żaba, żyjemy cały czas w nerwach, to znaczy ja i Usia. Boję się, że znów się skrupi na niej. Wiesz, jaka ona jest pechowa...

— Zaraz, zaraz — powstrzymałem go. — Co za Usia?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Znasz chyba moją siostrę, bliźniaczą siostrę, Usię?

— Usię?

— Tę z internatu dziewczyńskiego. Pamiętasz ją chyba z szopki...

— Z jakiej szopki?!

— Znaczy, z jasełek, no, z tego przedstawienia. Była Śmiercią...

Faktycznie, przypomniałem sobie. Ładna dziewczyna w okularach z siódmej b, smagła jak Hinduska. Nazywano ją Czarną Mambą lub Smoluchą. Faktycznie w tych jasełkach była Śmiercią, bardzo sugestywną Śmiercią w okularach. Jej ciemna twarz pomalowana w białe pasy i kółka robiła niesamowite wrażenie. Byłoby to z pewnością bardzo udane przedstawienie, ale pech chciał, że w najbardziej dramatycznym momencie, kiedy Śmierć w podskokach zbliżała się z kosą do Heroda, ze spoconego nosa zsunęły się jej okulary i wpadły pod tron króla. Wtedy ona uklękła, żeby je podnieść, a widzowie myśleli, że płaszczy się przed tym oprawcą niewiniątek; oburzeni zaczęli tupać i gwizdać. Więc Diabeł próbował ją podnieść, a ona go odpychała i w rezultacie przewrócili tron. Oburzony Herod rzucił się na Diabła i okładał go berłem... Zrobiło się zamieszanie. Ktoś nadepnął Herodowi na nogę, pamiętam, jak podskakiwał na scenie na jednej nodze, jak wielki czerwony ptak... Diabłu urwano ogon i biegał z dziurą na siedzeniu, Gwardia Heroda potraciła głowy i na oślep rąbała halabardami. Na końcu pan Soczewiak wpadł na scenę i wyprowadził za ręce Śmierć i Diabła. Śmierć płakała. A woźne rozbroiły z poświęceniem żołnierzy. Przedstawienie zostało przerwane. Nie wiadomo było, czy śmiać się, czy oburzać.

— Wiem, o kim mowa — powiedziałem do Pigmenta. — O Smolusze.

Pigment nastroszył się.

— Nie przezywaj jej tak! Ona płacze, że tak ją przezywają i stale kupuje jakieś kremy, żeby sobie rozjaśnić twarz. A teraz ma w dodatku nowy stres... Właśnie o tym chcę z tobą pogadać, Żaba...

— Może potem. Ja teraz nie mam czasu, Pigment — przerwałem mu ostro.

— Przecież jest bardzo wcześnie...

— Mam coś bardzo ważnego i pilnego na tapecie. Czy byłbyś tak uprzejmy nie zawracać mi głowy?

— Żaba, to ci naprawdę nie zajmie wiele czasu. Tylko ty potrafisz to załatwić. Tak wtedy obłędnie załatwiłeś z gablotą...

Chciałem mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, skląć go i obrazić żeby się zniechęcił raz na zawsze nagabywania mnie... ale się opamiętałem. To nic nie da — pomyślałem. Pigment był równie bez wstydu i honoru jak Wyrzek i należał do rzepów trudnoodczepialnych, a w dodatku, jak się zorientowałem, bardzo kochał siostrę. Nie ma co próbować go spławić. Już lepiej pozwolić mu wyrzucić wszystko, co ma na wątrobie.

— Nie mam siły się z tobą handryczyć, Pigment. Wal o co chodzi, tylko szybko i rzeczowo.

— Dobra. To zdarzyło się, kiedy pani Kasper wyjechała. Ona jest kierowniczką internatu i wyjechała na parę dni w zeszłym tygodniu. Usia poszła na strych powiesić uprane rzeczy i zobaczyła już ze schodów, że drzwi są uchylone, zajrzała ostrożnie i zobaczyła Lilkę Dudek. Więc schowała się za bielizną, żeby zobaczyć, co Lilka robi na górze, bo przecież nigdy sama nie pierze i nie suszy, tylko oddaje do prania jednej takiej z Siekanki...

— Pigment, streszczaj się! — mruknąłem zniecierpliwiony.

— Przecież streszczam się. Więc Usia stała za tym prześcieradłem i spostrzegła, że ta Dudek ściągnęła z wieszaka sukienkę pani Kasper, wepchnęła do swojej torby i szybko wyszła.

— Chcesz powiedzieć, że twoja siostra była świadkiem kradzieży?

— Właśnie.

— Gdzie tu sprawa? — wzruszyłem ramionami. — Powinna wziąć tę Dudek za frak, kazać oddać i szlus!

— Tak zrobiła... Jak tylko oprzytomniała z wrażenia, pobiegła za nią, ale ta Dudek już gdzieś zdążyła upchnąć ciuch. I wyparła się wszystkiego. A pani Kasper w każdej chwili może zauważyć brak sukienki. I Usia boi się, że będzie na nią...

— Niby dlaczego ma być akurat na nią?

— Bo miała wtedy klucz od góry, woźna od razu poświadczy, że jej dała i znajdą się świadkowie, którzy widzieli, jak szła na ten strych. A poza tym... Pigment zawahał się zakłopotany.

— Co poza tym?

— Mówiłem ci, że ona ma pecha. Już dwa razy była posądzana o kradzież.

— Smolucha?!

— Prosiłem cię, żebyś tak o niej nie mówił — Pigment naburmuszył się. — To były niesprawiedliwe oskarżenia — ciągnął posępnie. — Usia to bardzo przeżyła. Raz znalazła na przystanku autobusowym damski zegarek „Zoria" i nikomu nic nie powiedziała, a potem się okazało, że to był zegarek pani Kasper. I pani Kasper podejrzewała Usię, że go zwinęła, jak pani Kasper się kąpała. A drugi raz to było, jak kucharce zniknęły nowe pantofle z „wężowej skóry". Po tygodniu ktoś je podrzucił przez okienko piwniczne do schowka z ziemniakami, ale już porządnie rozdeptane; widać było, że ktoś z dużą nogą w nich łaził. Więc kucharka razem z panią Kasper sprawdziła wszystkie nogi dziewczyn z internatu i okazało się, że Usia ma największe nogi i na nią padło podejrzenie. Kucharka ubzdurała sobie, że Usia brylowała w tych pantoflach po dyskotekach, ale nie miała dowodu, bo nikt tam Usi na szczęście nie widział.

Cdn.

Show za cenę... życia

Najpopularniejszą dyscypliną sportową jest piłka nożna, lekkoatletykę nazywają królową sportu, miliony wielbicieli ma tenis i hokej, ale chyba najbardziej widowiskową, „telewizyjną" grą jest koszykówka. Nie od dziś wiadomo, że najwspanialszy basket można oglądać za oceanem. Amerykanie są prawdziwymi artystami, szczególnie ci z zawodowej ligi NBA. Spróbujmy przyjrzeć się jej od kuchni...

Niezwykła widownia

Mecze zawodowej ligi rozgrywane są w ogromnych, supernowoczesnych halach, mogących pomieścić nawet 40 tysięcy ludzi (w Detroit, Dallas, Indianapolis). Takie spotkania to nie tylko rywalizacja sportowa. To ogromny show, prowadzony przez świetnych konferansjerów; pełen pięknych dziewcząt, popisów akrobatycznych, gry świateł, muzyki. Publiczność wspaniale zna się na „koszu", gorąco zagrzewa do walki swych pupili od pierwszej minuty, aż do końcowego gwizdka sędziego. W każdej hali znajduje się ogromny ekran, na którym kibice mogą śledzić powtórki najciekawszych akcji, oczywiście także w zwolnionym tempie. Ceny biletów zróżnicowane — od 10 do 50 dolarów. Wielu ludzi wykupuje karnety na cały sezon. Najbardziej fanatyczna publiczność znajduje się w Bostonie i Los Angeles. Ogłuszający doping wprost ścina z nóg drużyny przyjezdne. Zresztą zespoły z tych miast (Los Angeles Lakers i Boston Celtics) należą do najlepszych w NBA.

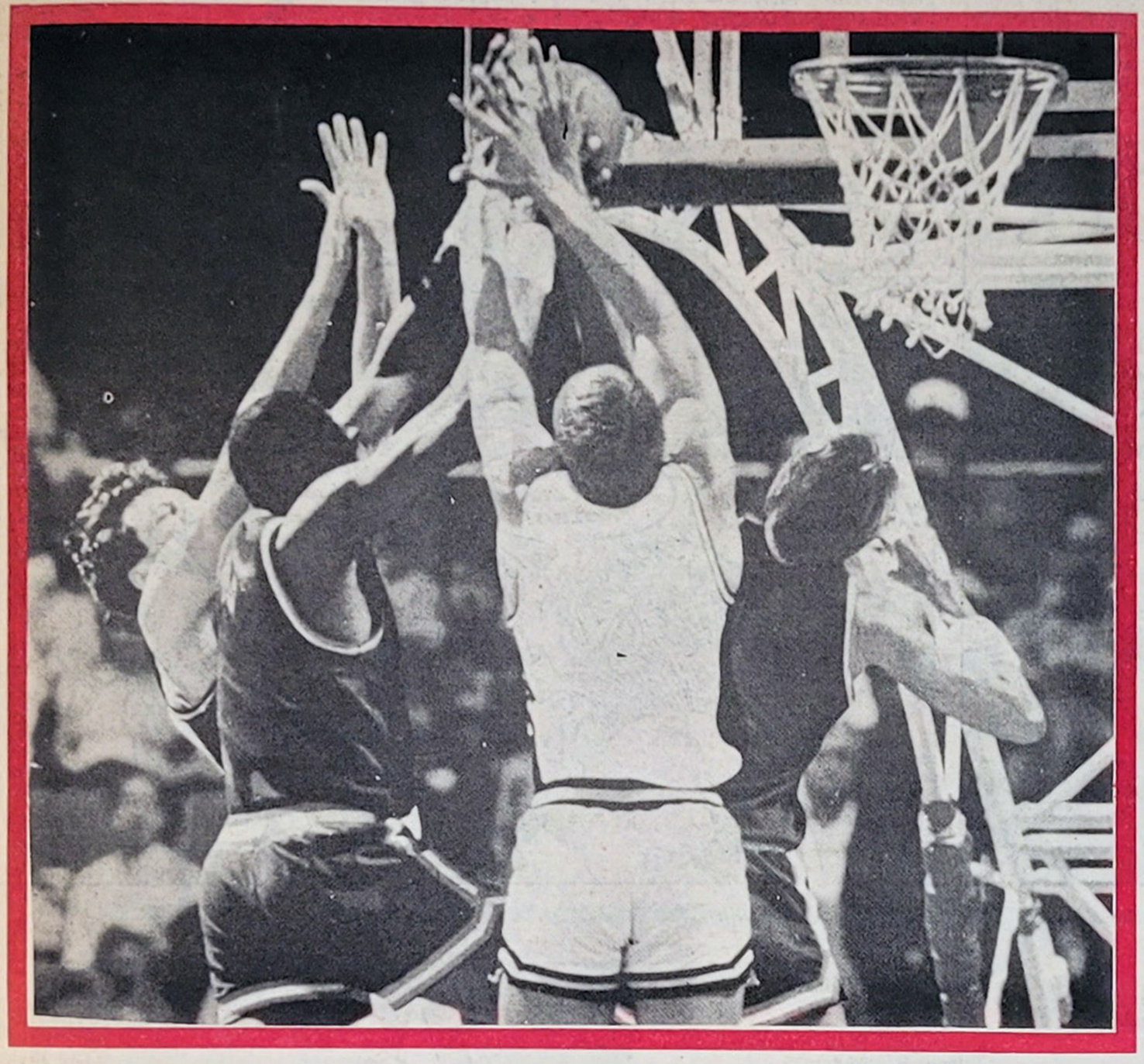

Surowa selekcja

W czerwcu organizowany jest tzw. draft, czyli selekcja, podczas której najlepsi zawodnicy przydzielani są do poszczególnych zespołów. Jest zasadą, że najbardziej utalentowani trafiają do najsłabszych drużyn ligowych. Ma to wyrównać szanse i poziom gry wszystkich 23 zespołów. Konkurencja młodych koszykarzy jest ogromna. Chętnych jest kilkuset graczy, a tylko kilkunastu przechodzi do profesjonalnego sportu. Przeważnie jeden lub dwóch do każdego zespołu. I tak jest każdego roku. Prawie wszyscy gracze wywodzą się z drużyn uniwersyteckich. Jednym z nielicznych wyjątków jest znakomity środkowy Moses Malone, który przyszedł do NBA zaraz po ukończeniu szkoły średniej. W ostatnim roku trafiło do ligi kilku graczy europejskich, ale jedynie ci najlepsi. Tu dla „tylko dobrych" nie ma miejsca.

Największe gwiazdy

Publiczność przychodzi oglądać przede wszystkim gwiazdy, a w NBA jest ich cała konstelacja. Praktycznie na każdej pozycji jest kilku wirtuozów, dla których *basket* nie ma żadnych tajemnic. Amerykanie wyróżniają pięć takich pozycji: strzelający rozgrywający (*shooting guard*), właściwy rozgrywający (*point guard*), mały skrzydłowy (*small forward*), silny skrzydłowy (*power forward*) oraz środkowy (*center*). Na pierwszej z nich błyszczy od lat najlepszy chyba koszykarz lat 80. — Michael Jordan z Chicago Bulls. Za podpisanie kontraktu na okres 8 lat „Byki" zapłaciły mu aż 25 milionów dolarów. Kibice nazywają go „Fruwający Mike", gdyż uwielbia walkę w powietrzu i tzw. wsadki z góry do kosza. Przy niepozornym jak na koszykarza wzroście (198 cm) wykonuje w powietrzu ekwilibrystyczne sztuczki, które wydają się przeczyć prawom fizyki.

W drugiej kategorii króluje niepowtarzalny Magic Johnson z Los Angeles Lakers. Przydomek „czarodziej" mówi chyba wszystko o tym rozgrywającym dryblasie o wzroście, bagatela, 205 cm.

Wśród „małych skrzydłowych" wyróżnia się najlepszy biały gracz w NBA — Larry Bird z Boston Celtics (206 cm). Uważany jest za tytana pracy, najbardziej ambitnego gracza „Celtów". Jednym z najlepszych „silnych skrzydłowych" jest Charles Barkley z Philadelphia 76. Mimo skromnego wzrostu (195 cm) wyróżnia się potężną muskulaturą i znakomitym wyskokiem a także ogromną intuicją, dzięki której zbiera z tablicy większość piłek.

Do niedawna królem „centrów" był doskonały Kareem Abdul-Jabbar z „Lakersów", jednak w wieku 41 lat pożegnał się z parkietem w poprzednim sezonie. Schedę po nim próbują przejąć Patrick Ewing z N. Y. Knicks, Akeem Olajouwon z Huston Rockets oraz najwyższy koszykarz ligi, mierzący 230 cm Sudańczyk Manute Bol z Golden State Warriors. Dla porównania — najniższy gracz Tyrone Bogues z Washington Bullets liczy... 159 cm.

Bajeczne pieniądze

Wspominaliśmy już o ogromnym kontrakcie Michaela Jordana. Jednak najwyższą stawkę roczną osiągnął w ostatnim sezonie Patrick Ewing z „Knicks" — okrągłe 4 mln dolarów. Magic Johnson zarobił milion mniej, Jordan „tylko" 2,5 miliona, podobnie jak Chriss Mullin z „Warriors". Najsłabsi gracze zarabiają dużo mniej, ale także nieźle: po 200-300 tysięcy rocznie. Tyle także dostają przeciętnie trenerzy. Z zawodników europejskich, występujących w NBA od bieżącego sezonu, najkorzystniejszą umowę podpisał Szarunas Marczulonis („Warriors") — 3,5 mln płatne w ciągu 3 lat. Połowa z tej kwoty trafi na konto władz sportowych ZSRR. Niewiele mniej dostanie Jugosłowianin Drażen Petrovič („Blazers") — 3,6 mln za 4 lata gry. Wszystkie te stawki nie obejmują pieniędzy otrzymywanych przez koszykarzy tytułem reklam. W niektórych przypadkach kwoty z tego źródła dorównują, a nawet przewyższają oficjalne zarobki.

Pieniądze płyną do NBA naprawdę wartkim strumieniem. Przede wszystkim ogromne kwoty wpłaca telewizja za prawo do transmisji meczów, a także wielkie firmy za reklamy swych wyrobów. Sporo wpływów przynoszą bilety. Również prywatni sponsorzy, właściciele poszczególnych drużyn, nie żałują swych kapitałów na utrzymanie zespołów.

Wróg numer 1 — narkotyki

Głównym problemem ligi stały się w ostatnim okresie narkotyki. Podobno większość graczy w mniejszym lub większym stopniu ma z nimi kontakt. Co ciekawe, nie obniżają one drastycznie poziomu sportowego zawodników, ale są często zabójcze. W ostatnich latach zmarło kilku młodych, utalentowanych koszykarzy, którzy przedawkowali „biały proszek". Szczególnie szerokim echem odbiła się przed czterema laty śmierć Leona Biasa. Miał on występować w „Celtach" i wróżono mu olśniewającą karierę. Skończyło się na tragedii. Kilku graczy przebywało, bądź przebywa, na leczeniu w zakładach odwykowych, między innymi tak dobrzy jak: Walter Davis, Michael Ray Richardson czy John Lucas. Smutne jest to, że ich przykład nie odstrasza kolegów i co kilka miesięcy wybucha kolejna kokainowa afera w NBA. Ostatnio władze ligi wypowiedziały narkotykom ostrą wojnę i mają stosować drastyczne kary wobec „ćpających". Ale czy to pomoże?

Rywalizacja wielkiej trójki

Już od kilku sezonów trwa ostra rywalizacja dwóch drużyn — Boston Celtics i Los Angeles Lakers. Pod koniec lat 80. włączył się do niej trzeci zespół — Detroit Pistons.

Sezon 1988/1989 przyniósł dość niespodziewany, aczkolwiek zasłużony, sukces tej ostatniej drużynie. „Tłoki" z Detroit to trochę dziwny zespół. Pozbawiony wielkich gwiazd, preferuje koszykówkę kolektywną, bez klasycznego „centra" i skrzydłowego. Ich główna broń to świetny rzut z półdystansu, szybki atak oraz „betonowa", bardzo szczelna i aktywna obrona. Wyróżniają się także ogromną ambicją, której w dużej mierze zawdzięczają ostatnie sukcesy. W tegorocznej, 44 już edycji ligi NBA drużyna z Detroit będzie głównym faworytem. Bossowie z Los Angeles i Bostonu zapowiedzieli srogi rewanż, tak więc finał zapowiada się rzeczywiście pasjonująco. Już dziś wszyscy kibice z utęsknieniem czekają na Igrzyska w Barcelonie, do których dopuszczono profesjonalistów zza oceanu. Ich gra to prawdziwa uczta dla oczu, to wielkie emocje i niepowtarzalne wrażenia. Bohaterów najwspanialszej ligi NBA będą mogli ujrzeć wreszcie wszyscy miłośnicy basketu na całym świecie.

ANDRZEJ BACZYŃSKI

Fot. **archiwum**

MYŚLI NA GWOŹDZIU

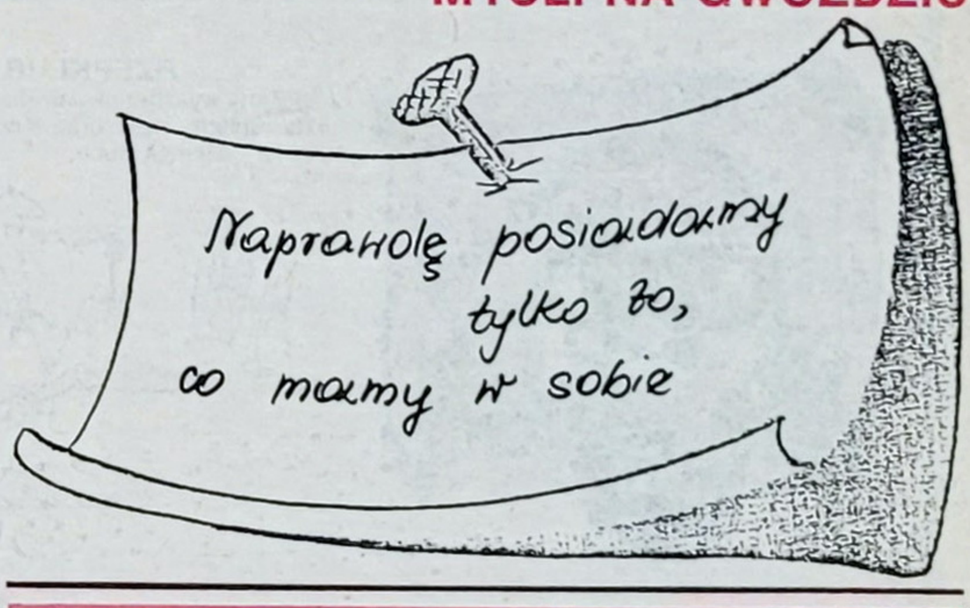

UŚMIECH NUMERU

PEWIEN człowiek zgłosił się do dyrektora rewii na lodzie.

— Co pan potrafi? — pyta dyrektor.

— Potrafię robić na lodzie ósemki!

— To przecież zupełnie proste!

— Ale ja to robię zupełnie oryginalnie: podczas gdy lewą nogą kreślę na lodzie szóstkę, prawą wykonuję dwójkę!

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Redaguje kolegium: **Jan Orgelbrand oraz Ewa Drobnik, Wanda Kobylecka, Ewa Kosińska, Michał Malicki, Małgorzata Szczepańska, Grażyna Szroeder-Bukowska.**

Adres redakcji: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telefon: 21-15-61, telex: 813658. Telefony: redaktor naczelny: 21-15-61; z-cy red. nacz. — 29-21-42; sekretarz redakcji — 28-25-48; dział łączności z czytelnikami — 21-81-13; dział zainteresowań — 21-98-28; dział społeczno-wychowawczy — 21-47-06; dział kultury — 28-77-21; dział sportowy — 21-98-28; fotoreporterzy — 21-98-28.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403.

Cena ogłoszeń według cennika. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22. Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Zakład poligraficzny „HAND" w Warszawie, ul. Stołeczna 19. Pawilon 32.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne w Łodzi. F-7

Ukazuje się od 1949 r.
Nr 72 (4778)
Wychodzi:
wtorki i soboty,
Nr indeksu 35046,
PL ISSN 0137-93214.

Kleks w krainie zbuntowanych luster

SCENARIUSZ i RYSUNKI Szarlota Porzel

Oto portret Szefa, czyli pana Lewińskiego – nadzwyczaj udany, podobny i jak to się mówi: w charakterze. Malował **Krzysztof Mądry,** którego zapisuję do Rzepklubu.

RZEPKLUB

Żarty wyszperali: **Aurelia Boch**, którą zapisuję dziś, oraz **Krzysztof Dorosz** – członek klubu.

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektował **Piotr Pogoński,** od dziś członek Rzepklubu.

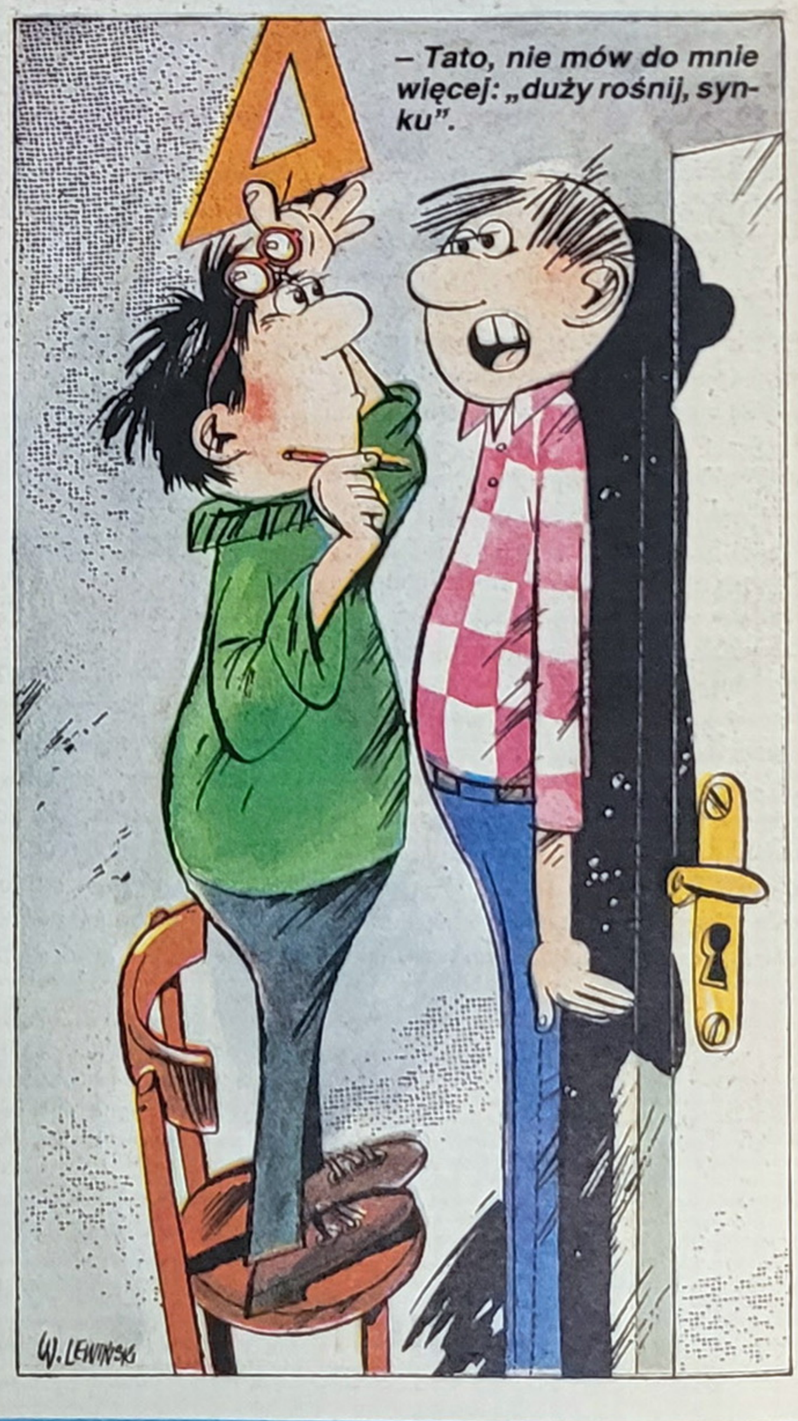

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Słyszałem, że w związku z ogólnopolskim wzrostem złodziejstwa zwiększył się ostatnio popyt na bezpańskie psy. Jest to jednocześnie smutne i radosne.

Oto (mocno spóźnione) zapisy do SEKCJI WŁAŚCICIELI KUNDLI: Zapisuję: **„Mandy”** z pieszczochem – „seterospanielem” *Pako;* **Lucynę Kupracz** z psem *Misiem* i kotem *Klakierem;* **Beatę Godlewską** z całą jej menażerią – suczką *Kamą*, kotami: *Czapą* i *Mizią*, papużkami: *Kasią* i *Kubusiem*, świnkami morskimi: *Bąblem* i *Pysią* oraz gołębiem; **Dorotę Kamińską** z suczką *Sunią*, chomikiem *Nunusiem* i kanarkiem *Kubusiem*. **Ankę Jakubowską** z psem *Remikiem* i chomikiem *Szurką*.

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**